

KATARZYNA
RYRYCH

TERCET
PROWINCJONALNY



LITERATURA
PIĘTRO WYŻEJ

Katarzyna Ryrych
Tercet prowincjonalny

© by Katarzyna Ryrych
© by Wydawnictwo Literatura

Okładka:
Elżbieta Chojna

Korekta i skład:
Lidia Kowalczyk, Joanna Pijewska

Wydanie I

ISBN 978-83-7672-629-8

Wydawnictwo Literatura, Łódź 2018
91-334 Łódź, ul. Srebrna 41
handlowy@wydawnictwoliteratura.pl
tel. (42) 630-23-81
www.wydawnictwoliteratura.pl
www.pietro-wyzej.pl

I

Kiedy Troja zorientowała się, że oprócz przeszłości istnieje czas teraźniejszy, było już za późno.

Być może przyczyna leżała w jej instynktownej niechęci do historii najnowszej, ponieważ – jej zdaniem – szlachetna muza nagle zaczynała zachowywać się jak pospolita i na dodatek tania dziwka...

Starożytność, wieki średnie... Te miały w sobie uspokajającą stałość – stabilne rozpasanie, przewidywalny upadek, ascetyczne oddanie i złoty róg Rolanda, jednym słowem – nad wiekiem pierwszym widniała równie wielka kropka i Troja czuła się bezpiecznie.

Współczesność była dla niej absolutnie nieprzewidywalna. Zmieniające się poglądy, opcje, samokrytyki i zbrodnie, raz nazywane bestialskim mordem, a drugi mniejszym złem...

Uczniowie Troi nie mogli zrozumieć, dlaczego szczupła, po męsku ostrzyżona starsza pani, która z takim zapalem wykładała dzieje starożytnego Rzymu lub Sparty, na lekcjach historii współczesnej zmienia się nie do poznania, prowadząc beznamiętny wywód wspierany obficie cytatami z podręcznika. Nudzili się, dorysowując Bierutowi diabelskie różki albo ozdabiając marginesy podręcznika rysunkami, które nie pozostawiały wątpliwości co do ich symboliki.

Rzecz jasna, Troja lekceważyła owe ozdobniki, w głębi duszy szczerze rozbawiona ich niezdarną hiperbolizacją.

Jeden jedyny raz pozwoliła sobie na niewinny, ale podszyty jadem komentarz: „Marzenie licealisty”, co wywołało huragan śmiechu i na jeden krótki moment uczniowie przypomnieli sobie Złoty Wiek w Atenach.

Na przełomie stuleci Troja wkroczyła – zupełnie nieopatrzenie dla siebie – w wiek emerytalny. W noc sylwestrową dokonała szybkiego remanentu swojego życia i zaskoczona spojrzała w lustro.

Zobaczyła kobietę o siwych, krótko ostrzyżonych włosach, ascetycznie szczupłą, co podkreślał szary kolor swetra.

Blask sztucznych ognii, które grupa dzieciaków odpaliła tuż pod jej balkonem i na krótką chwilę zalśnił na srebrnym wisioru – jedynym, jaki Troja posiadała, a który przedstawiał grecką maskę tragiczną.

– Kartagina powinna zostać zniszczona – powiedziała trochę bez sensu i wypila kieliszek szampana, z którego dawno zdążyły ująć bąbelki.

Dwa dni później na kartce, gdzie powinno znaleźć się sprawozdanie ze spotkania historyków, któremu przewodniczyła, napisała „POCAŁUJCIE MNIE W DUPE” i z pełną świadomością pozostawiła teczkę w sekretariacie.

Potem opróżniła swoją szafkę – kubek, spodek i kilka książek wsunęła do torby, a resztę ustawiła na półce.

– Wypalenie zawodowe – orzekła szkolna pedagog, patrząc na bezpańskie drobiazgi w otwartej szafce.

– Klimakterium – oświadczył wuefista.

– Depresja – dorzuciła nieśmiało plastyczka i tak zamknięto temat Troi.

Sama Troja była zaskoczona tym, co się stało, jak gdyby to nie ona, ale ktoś z zewnątrz poprowadził ją za rękę, a potem wywiódł z szarego, przysadzistego gmachu, do którego mogła trafić z zamkniętymi oczyma, jak dorożkarski koń, gdy woźnica zamroczony wypitą w pośpiechu setką uśnie na koźle.

Najgorsze ze wszystkiego było to, że w normalnej sytuacji Troja nigdy nie użyłaby podobnego sformułowania. A może to właśnie TA sytuacja była normalna – myślała Troja i nie dawało jej to spokoju.

Niemniej jednak nad Troją musiały czuwać opiekuńcze duchy, bowiem gdyby wydarzenie to miało miejsce rok wcześniej, Troja zdana na łaskę losu najprawdopodobniej zostałaby bez dachu nad głową.

Dyrektor szkoły, młoda, ambitna kobieta, której życiu przyświecało słowo „misja”, napisała w imieniu Troi podanie o możliwość przejścia na wcześniejszą emeryturę, które musiała własnoręcznie podpisać – bowiem Troja nie zamierzała otworzyć drzwi ani jej, ani koleżance polonistce, z którą spędziła przy jednym stoliku czterdzieści lat.

– Czterdzieści lat wystarczy – mruknęła pod nosem, spoglądając przez szparę w firance. – Czterdzieści lat rozmów o klasyfikacji, problemach wychowawczych...

Poczekwała, aż postać w jesionce w jodełkę zniknie za zakrętem, i powróciła do przerwanej lektury.

Od tamtego pamiętnego dnia Troja nie odsłaniała zasłon w pokoju – jej okna wychodziły na szkolne boisko, które oglądała niezmiennie dzień po dniu przez całe życie.

Wybierała się po zakupy wczesnym rankiem, strzygła włosy maszynką, a na spacer udawała się po zmroku, kiedy okna

szarego, ciężkiego budynku były ciemne, a na boisku przesiadywali ubrani na czarno długowłosi młodzieńcy i dziewczyny o paznokciach pomalowanych na czarno, a ostry, gryzący dym z papierosów, które palili, wciskał się do jej mieszkania przez nieszczelne okno.

Z kuchni widać było nieduży skwer, gdzie zwykle przesiadywały matki z dziećmi. Matki czytały kolorowe magazyny albo doklejały sobie tipsy, a dzieci twiły w piaskownicy i tłukły się wiaderkami po głowach.

– Kartagina powinna zostać zniszczona – powtórzyła Troja i otworzyła książkę telefoniczną.

Poczuła, że do tego dnia przymierzała się co najmniej przez ostatnie dwadzieścia lat, i z emocji zrobiło się jej sucho w ustach. Wypiła łyk mineralnej i wykręciła numer.

Miała wrażenie, że do chwili, gdy po drugiej stronie odezwał się rzeczowy – profesjonalny, przemknęło jej przez myśl – kobiecy głos, upłynęły całe wieki.

Przygotowanym uprzednio ołówkiem zapisała na kartce dane i odsłoniła okno.

Przechodzący chodnikiem długowłosego młodzian przystanął i pomachał do niej.

Troja odpowiedziała mu uśmiechem, choć najprawdopodobniej tego nie zauważył, i poszła do kuchni, gdzie na lodówce zostawiła paczkę papierosów. Otworzyła okno i zaciągnęła się głęboko.

Odwilż zdążyła pokryć chodniki szaroburą breją, ale mimo tego dwójka dzieci zjeżdżała na sankach z małej górki, spychając się wzajemnie z sanek w rozmiętkły, przemieszany z błotem i trawą śnieg.

Troja westchnęła i podeszła do szafy. Ubrań było niewiele, wszystkie popielato-czarne, jedynie czerwona apaszka, którą kupiła kiedyś w jakimś niezrozumiałym porywie za złotówkę w lumpeksie, zaświeciła niby płomień.

Troja zdjęła apaszki z wieszaka i okręciła nią szyję.

Dom – stary, drewniany, z niedużym gankiem stał w małej uliczce prowadzącej do kościoła. Miał przeszkloną werandę i sprawiałby dość miłe wrażenie, gdyby nie panujący w nim straszliwy bałagan.

Na podłodze walały się pudła i kartony, z których wysypywały się zetlałe ubrania, pod nogami brzęczało szkło z rozbitych słoików, a na środku kuchni leżała ogromna psia kupa.

Troja uniosła brwi i kwaśno spojrzała na swoją towarzyszkę.

Młoda kobieta sięgnęła po kawałek poniewierającej się na stole tektury, zgarnęła z podłogi kupę i wyrzuciła ją przez wybite okno. Troja odruchowo pomyślała o trawniku przed kuchennym oknem, gdzie wiosenne słońce wydobywało spod śniegu zwinięte w półksiężycy albo drobno pokruszone psie kupy, i wzdrygnęła się.

– Ciągłe tylko gówno i gówno – mruknęła pod nosem i zaraz poczuła wyrzuty sumienia, że znowu, bez przyczyny, jest wulgarna.

A jaka mam być – odezwał się w jej głowie przekorny chochlik – skoro każdego dnia dowiaduję się, jakie zajebiste jest to czy owo?

Zajebiste. Pojebany. Jebać. Troja instynktownie nie zносиła tego słowa.

Import ze Wschodu – pomyślała. – Tak jakby nie wystarczyło nam nasze swoje, polskie „pierdolić”. Pierdolić trzy po trzy, pierdolić to czy tamto, zapierdalać...

Właśnie. Nagle przyszło jej do głowy, że przez całe życie uprawiała to, co znalazło się jako ostatnie na jej liście. Zapierdała.

Młoda kobieta rzuciła jej pytające spojrzenie.

– Powinam była zajrzeć tu wcześniej – powiedziała, profesjonalnie wyrażając skruchę.

Troja wzruszyła ramionami i wyszła na zewnątrz.

– Decyduje się pani?

Bezlistne gałęzie starych owocowych drzew pokryte guzami sterczały sztywno ku niebu.

– To dobre, stare odmiany. Trzeba tylko koło nich trochę pochodzić.

Troja odwróciła się. Oparty o ogrodzenie mężczyzna we włóczykowej czapce miał wygląd typowego menela. Na pewno nie golił się od kilku dni, a jego policzki pokrywały dziwne blizny.

Troja uniosła wysoko cienkie brwi.

– Jestem Franek – powiedział i, nie zdejmując rękawiczek, wyciągnął w jej stronę rękę.

Franek. To ostatecznie utwierdziło Troję w przekonaniu, że na samym początku w jej nowym życiu pojawił się lokalny pijaczyna. Przyzwoity, nawet lekko ekscentryczny człowiek mógłby zamiast „Franciszek” powiedzieć ot, tak po prostu „Franek”, ale powinien zdjąć rękawiczki, witając się z, bądź co bądź, starszą kobietą.

Dłoń nieznajomego zawisła w powietrzu, cofnął ją, lekko zbity z tropu, i odszedł, nie oglądając się za siebie.

– Decyduje się pani?

Troja popatrzyła w ślad za menelem i nagle zrobiło się jej przykro.

– A mam inne wyjście? – zapytała, obracając swoje roztargnienie w żart.

W ten oto sposób Troja rozpoczęła nowe życie, w którym – miała nadzieję – nigdy nie zobaczy psiej kupy na trawniku pod swoim oknem.

Wójt, tęgi i jowialny mężczyzna, wyczarował ekipę remontową i Troja, pozostawiwszy na kartce z notesu stosowne dyspozycje, powróciła do miasta, aby zająć się likwidacją swojego dotychczasowego życia.

Życia było sporo – dziesięć kartonów książek, jedna paczka naczyń i dwa pudła ubrań. Troja długo zastanawiała się, czy zabrać ze sobą biurko, przy którym spędziła tyle czasu, ślęcząc nad klasówkami, ale ostatecznie doszła do wniosku, że pozostawienie biurka przy śmietniku byłoby niegodnym aktem na miarę pozostawienia psa przywiązanego do barierki przy podmiejskiej drodze. A skoro już zlitowała się nad biurkiem, nie mogła znaleźć innego, wystarczającego powodu, aby pozbyć się reszty mebli.

Wkrótce, ku jej ogromnej radości, przekonała się, że w nowym wnętrzu stare meble wyglądają zupełnie inaczej – nie pchały się na siebie jak w poprzednim, ciasnym mieszkaniu, nie potykała się o krzesła, a wygodny, stary fotel całkiem przyzwoicie prezentował się na werandzie.

Znalazło się również miejsce na wszystkie drobiazgi, które dotychczas – z braku miejsca – pokrywały się kurzem w piwnicy, a książki mogły nareszcie stanąć w jednym rzędzie tak, że spoglądając na grzbiety, mogła dostrzec, która jest która.

Troja pomyślała, że wysoki i szczupły zegar szafkowy przestał tykać szybko i dychawicznie, natomiast zaczął odmie-

rzać czas z rozmysłem i statecznie, jak przystało na rodzinną pamiątkę.

Opuściła miasto późnym popołudniem, kiedy ostatni uczniowie wychodzili ze szkoły.

Przeszła dobrze znaną drogą, mając wrażenie, że spogląda na nią innymi oczyma, odpowiedziała na pozdrowienia kilku młodych ludzi, wróciła do służbowego mieszkania i odkręciła z drzwi wizytówkę.

A potem wsunęła za lustro w łazience kartkę.

Jeśli wydaje się wam, że nie wiedziałam, jak mnie nazywaliście, to jesteście w błędzie.

Troja

– głośno wyrażne, czarne litery.

Tak pożegnała miasto, do którego miała nadzieję już nigdy nie wrócić.

Bardzo szybko ustaliła, która droga do sklepu jest najkrótsza i o której przywożą do kiosku najświeższą prasę.

Idąc z wiklinowym koszykiem, przyglądała się ukradkiem mieszkańcom miasteczka, ale jak dotąd nikt, oprócz na oko czterdziestoletniej, rudowłosej kobiety, nie zwrócił jej uwagi.

Kobieta miała włosy w kolorze miedzi, tu i ówdzie poprzetykane siwymi nitkami, przezroczyste, zielonkawe, blade oczy i mnóstwo piegów na bladej twarzy.

Kiedy Troja zauważyła ją po raz pierwszy, ruda odgarniała śnieg przed sklepem.

Robiła to powoli, metodycznie i dokładnie, jakby od tego zależało coś bardzo istotnego – jeden płynny, posuwisty ruch szuflą i obrót w stronę powiększającej się zaspę.

Rudowłosej kobiecie towarzyszyła burobiała, piegowata suka.

Piegowata – to było zdaniem Troi najwłaściwsze określenie – pysk i kark psa pokryte były drobnymi plamkami, małymi jak piegi, przez co wyglądała zupełnie jak jej właścicielka.

Oczywiście był jeszcze menel, ten sam, któremu nie podała ręki, a który pochwalił drzewa owocowe w jej sadzie.

Parę razy wydawało się jej, że widzi jego chudą postać przemykającą między drzewami, ale – zapewne z powodu jej opryskliwości – omijał jej dom szerokim łukiem.

Tym większe było jej zdziwienie, gdy pewnego dnia pojawił się na ganku, niosąc w ręce wiklinowy koszyk i trzymając na sznurku młodego, przypominającego retrievera psa. Pies miał na grzbiecie łysy placek i kręcił się niespokojnie.

– Słucham? – zapytała, stając w drzwiach z rękoma opartymi na biodrach. Tę pozę zapamiętała z jakiegoś westernu, w którym główna bohaterka miała stawić czoła bandzie wyuzdanych opryszków.

Menel pociągnął nosem.

– W domu chyba przydadzą się pies i kot – powiedział.

Otworzył wieko koszyka i Troja zobaczyła potargany kłębek, który w żaden sposób nie przypominał kota.

Nigdy więcej psich gówien – przemknęło jej przez myśl, ale chochlik obudził się i nim zdążyła zaprotestować, została na schodach z psem i wiklinowym koszykiem.

– Proszę pana! – zawołała, ale menel nie słyszał lub, co gorsza, nie chciał słyszeć.

Pies podszedł do drewnianego słupka na ganku i obficie pokropił go moczem. A potem spojrział na nią wyraźnie zadowolony z siebie i pomachał ogonem.

Troja nie ruszyła się z miejsca, dopóki nie zaczęła marznąć. Pies siedział naprzeciwko niej, a kot pomiaukiwał w koszyku.

– Jutro zadzwonię do azylu – powiedziała z nutą groźby w głosie, podniosła koszyk i poprzedzana przez psa weszła do domu.

Pies, postukując pazurami, obszedł całą kuchnię, a kot wyprysnął z koszyka i zadekował się pod kredensem.

Zaś Troja, poirytowana, weszła do pokoju, w którym urządziła sobie sypialnię, starannie złożyła narzutę i poklepała poduszkę, aby się wyprostowała.

Obudziła się w środku nocy z uczuciem, że nie znajduje się w sypialni sama. Kiedy zapaliła nocną lampkę, zobaczyła, że pies otworzył sobie drzwi i ułożył się w nogach jej łóżka.

Więc to był ten ciepły ciężar przygniatający jej nogi.

Pies otworzył oczy i z podkulonym ogonem, bardzo niechętnie zszedł na podłogę.

– Jutro zadzwonię do azylu – mruknęła i zgasiła światło.

Stukanie pazurów ucichło tuż obok jej łóżka i po chwili coś ułożyło się obok.

– Paszoł won! – krzyknęła Troja, a pies uniósł głowę. W ciemności jego oczy błysnęły niby wilcze ślepie.

Rankiem Troję obudził przeraźliwy chłód. To pies swoim ciężarem ściągnął znaczną część kołdry i, jakby tego było mało, wyprostował się na całą, dość pokaźną długość.

Troja wstała, owinęła się płaszczem kąpielowym, pełniącym od niepamiętnych czasów funkcję szlafroka, i podeszła do telefonu.

Skostniałymi palcami wykręciła biuro numerów.

II

Troja usiadła na brzegu łóżka. Postawiła na leżącym na podłodze dywaniku prawą stopę, a lewą poszukała pantofla. Ktoś wsunął go pod łóżko. Podwinęła palce lewej stopy i powoli wyciągnęła pantofel.

Było w nim coś miękkiego.

Cofnęła stopę i podniosła pantofel z ziemi.

Na dywanik wypadła martwa mysz.

Ujęła w dwa palce cienki ogon i podeszła do okna.

Z parapetu spojrzały na nią z wyrzutem zielone oczy kotki.

– To co, do cholery, mam ją zjeść?! – wybuchnęła.

Kotka przekrzywiła głowę. Wyglądała tak, jakby chodziło jej właśnie o to.

Troja zamachnęła się i martwa mysz szerokim łukiem poleciała w trawę.

Kotka błyskawicznie zeskoczyła z parapetu i niby dobrze wyszkolony pies pojawiła się po chwili z myszą w pyszczku.

– Na miłość boską – jęknęła Troja.

Kotka spojrzała na nią.